

KATARZYNA MAŁECKA

KRÓL PÓŁNOCY

TORONTO NALEŻAŁO DO NIEGO



KATARZYNA MAŁECKA

KRÓL PÓŁNOCY

Copyright © for the text by Katarzyna Małecka
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2024
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Anna Strączyńska
Korekta: Anna Grabowska, Anna Miotke, Martyna Góralewska
Skład i łamanie: Paulina Romanek
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-589-8 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2024
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwniezwykle](#)
✂ Wyd_NieZwykłe
🎵 [wydawnictwniezwykle](#)

*Dla Ani.
Bez Ciebie nie napisałabym tej książki.*

Drogi czytelniku!

Zgłębiając historię Jonathana i Poli, spotkacie Trini oraz Cruza z „Króla południa”. Jeśli jeszcze nie znacie tej pary, gorąco zachęcam do poznania ich losów.

Obie książki można czytać niezależnie od siebie, więc brak znajomości poprzedniego tomu nie przeszkodzi w cieszeniu się tą historią. Miłej lektury!

Rozdział 1

Jonathan

Unoszę głowę, słysząc dźwięk zamykanych drzwi. Do mojego gabinetu wchodzi Jane. Jej niebotycznie wysokie szpilki stukają o podłogę, a zaokrąglone biodra poruszają się zmysłowo z każdym krokiem. Kładzie na biurku czarną teczkę, obdarowując mnie opanowanym do perfekcji kokieteryjnym uśmiechem.

Zsuwam z nosa okulary i taksuję Jane wzrokiem, aż oblewa się rumieńcem. Moja sekretarka to piękna, seksowna kobieta mająca świadomość, jak działa na facetów, dlatego czasami trudno ją ignorować. Ubrana w ołówkową spódnicę przed kolano i obcisłą bluzkę z falbanką przy dekolcie wygląda jak ciastko z kremem. Ciastko, w które chętnie wbiłbym zęby, gdybym dawno temu nie zakazał w firmie spoufalania się z pracownikami. Zasady to zasady, niektórych z nich nie warto łamać, o czym wielokrotnie przypominał mi ojciec. Z kobietami trzeba postępować ostrożnie i zachować dystans, inaczej wystarczy kilka spotkań, dobre pieprzenie, a one będą planować ślub, wybierać zaproszenia i szukać sukni z trenem. Dlatego nie dotknąłem i nie dotknę Jane nawet palcem. Nie zaryzykuję utraty dobrej sekretarki, bo mimo powłóczyстых spojrzeń, uśmieszków, którymi raczy mnie na co dzień, ta młoda kobieta jest naprawdę dobra w tym, co robi.

Byłoby łatwiej, gdyby jej atuty nie budziły mojego libido z twardego snu.

Próbując przypomnieć sobie ostatnie upojne chwile, cofam się pamięcią do wieczorów spędzonych w moim klubie.

Minęło jednak zbyt wiele czasu, bym wciąż pamiętał twarz kobiety, w której gościłem. To znak, że powinienem nadrobić zaległości i spuścić nagromadzone ciśnienie, przez które trudno mi skupić uwagę na pracy.

Chrząknięcie Jane budzi mnie z transu.

Wiercę się na fotelu, prostuję plecy, a dłonie kładę na biurku.

– Przygotowałam umowę na jutrzejsze spotkanie – grucha uwodzicielskim tonem, po czym perfidnie oblizuje wargę, od której nie mogę oderwać wzroku. – Pan Fernandez będzie o jedenastej.

Moje podniecenie opada niczym poranna mgła. Spotkanie z tym zgredem na pewno zepsuje mi dzień, jego marudzenie wyprowadzi mnie z równowagi, a po wszystkim i tak z uśmiechem na ustach uściskę mu dłoń. Klient nasz pan, nie ma miejsca na brak profesjonalizmu.

– Jak zawsze na spotkanie zażyczył sobie swoje ulubione ciasteczka oraz tę aromatyczną kawę z Brazylii – dodaje.

– Moja firma to nie pieprzona kawiarnia – burczę niczym nadąsane dziecko.

– Trzeba dbać o klientów, panie Shay – karci mnie kobieta, kiwając palcem.

Właśnie dlatego nie mogę jej wywalić. Gównu obchodzą mnie życzenia Fernanda co do bufetu, a ona i tak zamawia te przekłete ciasteczka i kawę, za którą płacę krocie, byle uszczęśliwić tego wiecznie niezadowolonego staruszka.

– Czy potrzebuje pan czegoś jeszcze?

– Nie, dziękuję. Możesz odejść.

Jane przytakuje ruchem głowy i zmierza do drzwi. Przed wyjściem z premedytacją odrzuca włosy na plecy, już niemal przekracza próg, lecz w ostatniej chwili odwraca się i puszcza mi oczko.

Nie do wiary! Mam ochotę prychnąć na jej bezczelne zachowanie, skarcić ją, a w zamian wlepiam wzrok w przyniesione przez

asystentkę dokumenty. Rzucam okiem na umowę oraz na skargę niezadowolonego klienta. Przez chorobę jednego z kierowców musieliśmy opóźnić transport niemal o trzy dni. Nie jestem fanem takich sytuacji, jednak takie jest życie. Czasami dzieje się coś, na co nie mamy wpływu, dlatego klient dostał atrakcyjną zniżkę na kolejną usługę. Jak widać, nawet to nie było dla niego satysfakcjonujące.

Kręcę głową, wsuwam skargę do niszcarki i zabieram się za kolejne papiery. Wtedy rozdzwania się leżący na biurku telefon, na który spoglądam ze zmarszczonymi brwiami.

Na ekranie ukazuje się imię mojego młodszego brata, czym jestem szczerze zdziwiony. Nie dzwoni do mnie zbyt często, nasze kontakty ograniczają się do wspólnych obiadów w towarzystwie matki. Mój młodszy o dwanaście lat brat jest ulepiony z innej gliny, jakby nie należał do rodziny. Skryty, małomówny, typowy introwertyk. Nigdy nie mieliśmy dobrego kontaktu, a kiedy tylko ukończył liceum, zmył się do Wielkiej Brytanii, żeby studiować na tamtejszym uniwersytecie. Niechętnie wrócił do rodzinnego miasta. Czasami odnosiłem wrażenie, jakby ktoś go do tego zmusił. Przez wiele lat próbowałem się do niego zbliżyć, nawiązać nic porozumienia, ale z marnym skutkiem. W pewnym momencie po prostu się poddałem, zmęczony widokiem wiecznie naburmuszonej twarzy brata.

Po śmierci ojca nasze relacje sięgnęły dna, więc nawet się nie wysilałem na kolejne próby. Ryder nigdy nie zaakceptował tego, czym przez całe życie zajmował się ojciec, a kiedy ja przejąłem interes, brat bez oporów powiedział, co o mnie myśli. Każde jego słowo cięło niczym nóż, zostawiając po sobie blizny, lecz Ryder ani myślał przestać. To nie on musiał wziąć odpowiedzialność za naszą rodzinę. To nie on musiał po nocach ogarniać działanie firmy. Nie jego ojciec wybrał na swojego następcę. Nie miał prawa głosu, mimo to wysłuchałem go z kamiennym wyrazem twarzy, ukrywając targające mną emocje.

Cieszyłem się, kiedy całkowicie się odciął. Nie rozumiał zbyt wielu spraw, by móc wypowiadać się na ich temat. Moja praca nie polegała na siedzeniu przy biurku przez osiem godzin, odbieraniu telefonów i uśmiechaniu się do klientów. To była praca dwadzieścia cztery godziny na dobę, wieczne czuwanie. Na północy Toronto byłem królem, ale tego Ryder nigdy nie zrozumie. Brat żył w zupełnie innym świecie – zwyczajnym, szarym, nudnym. Bez śladu adrenaliny, dreszczyku niebezpieczeństwa, zagrożenia.

Wzdycham, kiedy telefon cichnie i rozdzwania się ponownie. Rozmowa z Ryderem to ostatnie, na co mam ochotę, ale skoro tak walecznie się do mnie dobija, zapewne musi mieć poważny powód. Dlatego niechętnie podnoszę tyłek ze skórzanego fotela, podchodzę do okna, zawieszam wzrok na panoramie Toronto i wciskam zieloną słuchawkę.

– Ryder – rzucam, nie siląc się na przyjazny ton.

– Nareszcie pan i władca raczył odebrać pieprzony telefon! – rzuca z pretensją, czym natychmiast podnosi mi ciśnienie. Rozchylam usta, gotowy wypluć kilka ostrych słów reprimendy, jednak nie dopuszcza mnie do głosu: – Przyjedź do szpitala świętego Michała. Natychmiast!

Nie dodaje nic więcej. Odsuwam komórkę od ucha, żeby upewnić się, że brat zerwał połączenie. Kiedy dociera do mnie, że gówniarz naprawdę to zrobił, gniew rozchodzi się po moich żyłach niczym żrący kwas. Zaciskam zęby, próbując ponownie nawiązać połączenie, lecz łapie mnie poczta głosowa.

Ależ ma szczęście, że nie stoi przede mną.

Rozdrażniony chwytam marynarkę, opuszczam biuro i rzucam do Jane, by odwołała spotkanie z Fernandezem. Z duszą na ramieniu zjeżdżam na podziemny parking, wsiadam do samochodu i ruszam z piskiem opon, zastanawiając się nad telefonem Rydera. Nie mam pojęcia, co się stało, kto leży w szpitalu

i dlatego, do cholery, brat nie wyjaśnił sytuacji, pozostawiając mnie w niepewności.

Na miejsce gnam jak najprędzej, łamiąc wszystkie możliwe przepisy. Staram się dotrzeć do celu w jednym kawałku, po drodze nikogo nie zabijając, co przychodzi mi z ogromnym trudem. Ledwie panuję nad nerwami, w dodatku zamartwiam się tym, co mogło się wydarzyć, a przed oczami wirują mi paskudne obrazy. Nienawidzę takich sytuacji.

Niedbale parkuję na pierwszym wolnym miejscu, wpadam do szpitala niczym wichur i ruszam w stronę rejestracji. Młoda kobieta z burzą ciemnych włosów unosi głowę. Na mój widok jej policzki pokrywają rumieńce, palce zaś zatrzymują się nad klawiaturą.

Nie jestem zaskoczony reakcją kobiety. Przywykłem do powłóczyстых spojrzeń, taksowania mnie wzrokiem, oblizywania kusząco ust i puszczania oczek. Moja sekretarka pieprzy mnie wzrokiem niemal każdego dnia, zapewne wyobrażając sobie najróżniejsze scenariusze, które nigdy nie będą mieć miejsca. Nic mnie już nie zdziwi.

Brunetka o imieniu Hailey bierze się w garść i zrywa się na równe nogi.

– Dzień d-dobry – duka. – W czym mogę panu pomóc?

– Chyba ktoś z mojej rodziny tutaj trafił. Nazwisko Shay.

– Już sprawdzam. – Zerka w komputer, stuka w klawiaturę pomalowanymi na niebiesko paznokciami i marszczy brwi. – Tak, zgadza się. Pani Jocelyn Shay.

Słodki Boże, czy ktoś robi sobie ze mnie nieśmieszne żarty?!

– Jest pani pewna? Proszę sprawdzić jeszcze raz.

Kobieta posłusznie przytakuje. Przygryza wargę, skupiając uwagę na monitorze, po czym zapewnia, że nie nastąpiła żadna pomyłka.

Jestem zaskoczony. Jadąc tutaj, brałem pod uwagę kilka ewentualności: Leo, Logan, może nawet Ryder. Ale z pewnością nie pomyślałem o matce. A powinienem był!

– Dokąd mam się udać?

– Proszę przejść na koniec korytarza i skręcić w lewo. Znajduje się tam izba przyjęć, na której wciąż przebywa pani Shay. Lekarz udzieli panu informacji.

Rzucam krótkie podziękowania, odwracam się i idę we wskazanym kierunku. Rozglądam się w poszukiwaniu brata, sprawcy całego zamieszania, ale nie ma po nim śladu. Właściwie nikogo nie ma, jakby plaga wytępiła cały personel. Ja pierdołę! Dzisiaj wszystko idzie nie tak! Czy na pewno miałem skręcić w lewo? Może to było prawo?

– Halo?! Czy ktoś tu w ogóle pracuje?! – krzyczę sfrustrowany. Na reakcję nie muszę długo czekać.

Tuż przede mną wyrasta młody chłopak. Jego ulizane na żel włosy niemal świecą, okulary zajmują całą twarz, a niski wzrost sprawia, że wygląda na nie więcej niż piętnaście lat, co raczej nie jest możliwe. Plakietka przyczepiona do kieszonki fartucha nie pozostawia wątpliwości, że Simon jest pielęgniarzem.

– Co się dzieje? – pyta spokojnie. Wsuwa długopis do kieszonki, a następnie typie na mnie znad oprawek.

– Chcę wiedzieć, co z moją matką.

– Proszę podać mi imię i nazwisko, sprawdzę.

– Jocelyn Shay.

Mężczyzna rzuca okiem w tablet, nucąc pod nosem.

Patrząc na przesuwający się po urządzeniu palec oraz mający na ustach pielęgniarza uśmiech. Chwytam za krawat, szarpnię materiał i wreszcie się go pozbywam, przy okazji rozpinając guzik pod szyją.

– I co? – dopytuję.

– Niestety nie mam na liście pana matki. Na pewno nadal tutaj jest?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć?! Ty tutaj pracujesz, człowieku, czy ja?!

Chłopak unosi brwi, posyłając mi zdegustowane spojrzenie. Zapewne wyglądam na furiata i zachowuję się niedorzecznie, za co mentalnie walę się po mordzie. Moja cierpliwość wisi na włosku i naprawdę chciałbym się dowiedzieć, co nawywijała matka, jednak nikt nie śpieszy się z udzieleniem mi informacji.

– Uspokój się!

Zamieram, słysząc za plecami kobiecy głos.

Pielęgniarka spogląda na stojącą za mną postać i przewraca oczami. Poruszam szyją, próbując przywołać się do porządku, po czym powoli się odwracam i stoję twarzą w twarz z blondynką w szpitalnym fartuchu. Spogląda na mnie wrogo, choć wzrostem ledwie przewyższa krasnalą ogrodowego. Na mój widok nieco się peszy. I bardzo dobrze.

– To znaczy... proszę się uspokoić – poprawia się.

Robię krok w przód, dokładniej przyglądając się dziewczynie. Dzieli nas kilka centymetrów, gdybym pochylił się jeszcze trochę, mógłbym ucałować jej policzek. Mimo to nie odsuwa się, odważnie utrzymuje spojrzenie, przyciskając do piersi podkładkę z dokumentami. Jest ładna; niebieskie niczym niebo oczy patrzą na mnie ze złością; idealne, pulchne wargi wypuszczają szybkie oddechy, równe brwi wykrzywia grymas, a na delikatnej skórze policzków pojawiają się lekkie rumieńce. Zdecydowanie preferuję wysokie, kształtne brunetki, lecz stojąca przede mną dziewczyna ma w sobie to *coś*. Muszę zwinąć dłoń w pięść, by powstrzymać chęć założenia jej za ucho kosmyka wymykającego się z koka na czubku głowy. Myślę, że ptaszyna wystraszyłaby się dotyku obcego faceta. Na pierwszy rzut oka wygląda na typ grzecznej dziewczynki tatusia, która wychodzi spod klosha tylko wtedy, kiedy jej na to pozwoli.

– Kim jesteś? – pytam niezbyt uprzejmie.

– Jestem praktykantką. Nazywam się Apolonia Różańska – mówi dumnie.

Gapię się na nią jak na wariatkę, przyswajając to, co powiedziała. Gdyby ktoś przyłożył mi gnata do skroni, nie byłbym w stanie powtórzyć jej nazwiska. Skąd ona się, u licha, wzięła?! Płynnie mówi po angielsku, choć wychwytyuję nutę obcego akcentu. Jestem ciekaw, skąd pochodzi ta piękna i zdecydowanie zbyt pewna siebie kobieta.

– Możesz powtórzyć? – dukam.

– Apolonia Różańska. Coś nie tak? – Posyła mi słodko-gorzki uśmiezek, przechylając głowę.

Czy ona sobie ze mnie kpi?

Oblizuję wargi, próbując zamaskować wypełzający mi na usta uśmiech. Muszę przyznać, że ta mała zrobiła na mnie piorunujące pierwsze wrażenie. Niewiele kobiet odważy się podnieść na mnie głos, nie wspominając o ochrzanie. Zaimponowała mi. Podziwiam ją za namiastkę odwagi, którą stara się pokazać.

– Skąd pochodzisz, dziecino?

Prycha, przesuwając językiem po zębach.

Słodki Jezu! Wygląda jak rozjuszona kotka gotowa zaatakować ostrymi pazurami.

– Nie udzielam takich informacji nieznanym – oświadczam.

Trochę opada mi szczeka, mimo to patrzę dziewczynie w oczy, próbując samym spojrzeniem ustawić ją do pionu. Na marne. Nie zamierza się ugiąć, nie dostrzegam nawet cienia strachu. Osaczam ją, góruję nad nią wzrostem, a ona odważnie wychodzi mi naprzeciw. Niebywałe.

– A teraz proszę mi wyjaśnić, dlaczego krzyczy pan w szpitalu.

Nagle napięcie opada. Rozluźniam się, kiedy zmienia temat, a te zadziorne iskierki w jej oczach nagle znikają, zastąpione troską.

– Szukam mojej matki. Ponoć trafiła na izbę.

– Och! Wysoka, pyskata, wyniosła i elegancka?

Wbijam zęby w wargę, by nie parsknąć śmiechem, słysząc słowa określające moją matkę. Trafia w punkt!

– Właśnie tak. To z całą pewnością moja matka.

– Pani Shay złamała nogę. Przed chwilą zabrano ją na prześwietlenie – informuje.

Sfrustrowany przeczesuję włosy palcami. Problem z Jocelyn Shay polega na tym, że mimo swojego wieku – a dwa miesiące temu skończyła sześćdziesiąt pięć lat – robi to, czego robić nie powinna. Jest młoda duchem i ma w nosie rady innych ludzi, w tym niestety moje. Chadza własnymi ścieżkami, całkowicie ignorując resztę świata. Jeśli chce skoczyć na bungee – skoczy. Jeśli ma ochotę polecieć do Paryża tylko po to, by napić się kawy w ulubionej kawiarni – poleci. Jeśli pragnie wywijać na parkiecie tango – zrobi to bez wahania. Jestem niemal pewny, że to właśnie podczas tańca doznała kontuzji. Tak wiele razy prosiłem, żeby na siebie uważała, tłumaczyłem, że pewne rozrywki nie są już dla niej. Nie odzywała się do mnie przez tydzień, a kiedy przyjechałem z kwiatami, spuściła psa ze smyczy. Pewnie gdyby Boss był rottweilerem, a nie golden retrieverem, odczułbym odrobinę strachu.

– Kiedy będę mógł ją zabrać?

– Nieprędko. Musimy poczekać na prześwietlenie, dopiero wtedy lekarz oceni rodzaj złamania. Proszę uzbroić się w cierpliwość i nie wrzeszczeć. W tym miejscu należy zachować ciszę, proszę pana – ruga mnie jak kolegę z podwórka.

Pochylam się w stronę dziewczyny, aż robi krok w tył i uderza plecami w ścianę. Dopiero w tym momencie gubi rezon, nieco się spina i mocniej dociska podkładkę do piersi, jakby traktowała ją niczym tarczę. Jej oddech przyspiesza, oczy robią się większe, mimo wszystko nie pochyla głowy, jakby za wszelką cenę próbowała mi pokazać, jaka twarda z niej sztuka. W moje nozdrza uderza słodka, kwiatowa woń, którą z przyjemnością się zaciągam. Nie przepadam za takimi zapachami, wolę coś ostrego, intensywnego, drapieżnego. Skoro dziewczyna pachnie kwiatami, musi być łagodna jak baranek.

– Uważaj – ostrzegam poważnie.

Mruga kilkukrotnie, a na jej twarzy pojawia się dezorientacja.
– Na co mam uważać? – pyta złośliwie, a iskierki zadziorności, które niedawno dojrzałem w jej oczach, wracają. – Czyżbym zachowała się niegrzecznie?

A to smarkula!

– Nie masz pojęcia, kogo upominasz, dziecino. Mogę zgnieść cię jak małego, niewinnego robaczka. – Uśmiecham się niczym psychopata.

Dziewczyna nie odpowiada. Zapada cisza. Mierzymy się wzrokiem, jakbyśmy próbowali wyczytać własne myśli, ewentualnie się w nich pozabijać. Ta istota wybrała sobie fatalny dzień na drażnienie lwa. Może ma ładną buźkę, może jest seksowna i miło byłoby zagościć między jej udami, jednak nie mogę pozwolić jej się panoszyć.

– Ma pan rację, nie wiem. Na szczęście to nie ma żadnego znaczenia. – Chrząka, a następnie zwinnie się odsuwa, zwiększając dystans między nami. – Proszę usiąść, panie...?

– Shay. Jonathan Shay.

– Dobrze, panie Shay. Kiedy będę wiedzieć coś więcej, zawołam pana. I proszę więcej nie krzyczeć – rzuca od niechcenia, odwraca się i... odchodzi.

Zaciskam zęby, ciskając w nią piorunami. Ona naprawdę to powiedziała, czy może tylko mi się przestęsało?

Tego dnia w moje poukładane życie trzasnęła piorun o imieniu Apollonia, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.